

**JANUSZ
KORCZAK**

BOBO

Janusz Korczak

Bobo

«Public Domain»

Korczak J.

Bobo / J. Korczak — «Public Domain»,

Bobo Janusza Korczaka to książka złożona z trzech utworów: Bobo, Feralny tydzień i Spowiedź motyla. Każdy z nich opowiada o innym etapie rozwojowym: niemowlęctwie, dzieciństwie i wczesnej młodości. Trudno odnaleźć w Bobo wizję beztroskiego dzieciństwa, każdy z tych etapów jest naznaczony trudem, niepokojem, nawet cierpieniem. Uderzający jest również opis samotności dziecka i młodzieńca, najczęściej niezrozumianego przez otoczenie, zmagającego się z problemami, które przeważnie go przerastają. Korczak szczegółowo i ze znanstwem opisuje czynniki, które kształtują los młodego człowieka, zarówno zewnętrzne (rodzina, szkoła, historia i polityka), jak i wewnętrzne (zmiany cielesne, namiętności, psychika). Dzieciństwo i młodość jawią się jako czas tytanicznej pracy nad sobą, w której świat dorosłych raczej przeszkadza niż pomaga. Człowiek dorasta, próbując ocalić w sobie wartości dzieciństwa: szczerłość, wierność sobie, bezinteresowną, czystą miłość, więź z naturą. Nie jest to jednak łatwe.

© Korczak J.

© Public Domain

Содержание

Bobo	5
Feralny tydzień	17
Конец ознакомительного фрагмента.	25

Janusz Korczak

Bobo

Bobo

(Studium – powiastka)

Bobo jest już stare: ma dwa dolne i cztery górne zęby, waży dwadzieścia trzy funty i jest zdaniem matki najmądrzejszym z bobów całego świata. Ojciec twierdzi, że bobo jest głupie jak but.

Matka jest tak dumna, jak gdyby bobo było jej własnym, nikomu uprzednio nieznanym wynalazkiem, który należy opatentować, opatrzeć numerem i oddać dla dalszej eksploatacji amerykańskiemu konsorcjum kapitalistów. Miewały wprawdzie kobiety bobów; ale to jest zupełnie inne, znakomicie ulepszone, nie dające się naśladować i niepodobne do żadnego z istniejących bobów świata...

Bobo siedzi na kolanach ojca, ciągnie go za brodę, stara się pochwycić czytaną przez niego gazetę.

– Nie przeszkadzaj – mruczy ojciec, zmiatając bobowe ręce z gazety.

Bobo przechyla głowę i przygląda się ojcu ciekawie:

– Dobry cień nieruchomo pochylony nad płamą koloru mleka – co robi dobry cień?

Bobo się dziwi szeroko otwartymi oczami, lekko uchylonymi ustami i powolnym, zrównoważonym oddechem.

– Powiedz mi bobo – zapytuje wreszcie ojciec, odkładając gazetę – jaki jest twój pogląd na dzisiejszy układ stosunków politycznych?

Bobo pociąga za sznurek ojcowskich binokli¹ i odpowiedział: „grr... mff... waua” – podskakuje z wielkiej uciechy.

– Ach bobo, bobo – mówi ojciec z żalem – ty o polityce nie masz najmniejszego wyobrażenia.

Bobo zaś, ściągnąwszy binokle, podnosi do góry rękę, i mówi tonem zdobywcy:

– O-o-o-o!

A matka zwraca się do ojca:

– Rzućże ten wstrętny papieros, bo dziecko poparzysz.

– Ach bobo, bobo – ciągnie gorzko ojciec – ty jesteś wielki, wielki cymbał.

Tu bobo zaczęło mrużyć i przeszło z rąk ojca do matki.

– Biedny bobuś – żali się matka – od cymbałów mu wymyślają, ubliżają bobasiowi, znieważają; nikt bobasia nie szanuje.

Bobo nos kułakiem² wyciera.

– Biedny bobaś, nasek go swędzi. Tata w nos nadymił. Powiedz: „be tata” – pogroź mu na nosku.

Tu bobo mruknęło po raz drugi, tym razem już energiczniej – i matka wybiegła z nim śpiesznie do sąsiedniego pokoju.

Tak, tak – bobo jest stare.

Małe bobo o sześciu zębach i dwudziestu trzech funtach³ wagi przeżyło już tak wiele, że przeszłość jego może stanowić temat do wielotomowej powieści.

¹ *binokle* – rodzaj okularów noszonych w XIX w. i na początku XX. Trzymały się na nosie dzięki dodatkowemu elementowi łączącemu szkła. [przypis edytorski]

² *kułak* – pięść. [przypis edytorski]

³ *funt* – jednostka wagi obowiązująca dawniej także w Polsce (350–560 g). [przypis edytorski]

Wielotomowej powieści o bobie nikt nie chciałby czytać. Niechby nie czytali? Ale powieści też nikt nie chciałby drukować.

Postanowiłem o bobie napisać tylko powiastkę.

Przyćmij⁴ lampę i czytaj powoli cichym szeptem – bo mówić będę o tajemniczym i dziwów pełnym przedhistorycznym prastarym okresie życia bobowego.

*

Tak było już. Tak było, gdy Bóg dzielił światło od ciemności i zawieszał gwiazdy, każdą na swym miejscu i wiązał je niewidzialnymi nićmi wzajemnego ciężenia. Tak było, gdy światy rodziły się z chaosu.

Jeszcze się światy nie rodziły; istniała dopiero myśl ich stworzenia, czy też – myśli nawet nie było.

Błąkały się barwy i dźwięki, siły cieniami się ledwie znaczyły i dymem nikłym snuły uczucia, bezładnie pomieszane i rozproszone. A każdy ich okrucuch, krzyżując się, a obojętnie mijając z podobnym lub obcym sobie, żył sam dla siebie.

Nie, nie żył jeszcze, bo nie było życia, nie błąkał się, bo ruchu nie było. Toż nie było jeszcze przestrzeni ani czasu. Chwila równała się stuleciom, kilometr kurczył się, rozpadał, rozrastał w kilometrów setki i tysiące.

Nie było nic, jedna tylko istniałaby przyszłość, gdyby było pytanie albo przeczucie przyszłości.

A jednak...

Rozlegnie się mocny głos, który rozkaże rozproszonym atomom łączyć się i społem⁵ budować, wyrzekając się siebie. I będzie błyskawica, i kropla dżdżu, i misterny kryształ – będzie bardzo dziwne: życie.

Czy i to już jest życiem, co rozproszonym atomom nie pozwala mijać się obojętnie, a wedle praw każe im się łączyć w mikrokonstelacje światów, które tylko przenikliwa myśl ludzka zamieszkiwać zdolna?

Będzie życie roślin od nikłej nici białej pleśni; a dęby rzucać będą ziarna, by z nich wyrosli synowie, gdy ciała ojców spróchnieją lub rozstrzaska konary ich piorun.

Będzie życie.

Będzie człowiek, który zapragnie odgadnąć tajemnicę życia – człowiek – dziwny twór.

Będzie...

Tymczasem pełna nieprzeczuwanych tajemnic a cudów mistyczna noc.

Będzie...

Bobo w błyskawicy poczęcia jest już wielkim cudem.

„Bobem” nazywam niemowlę, o którym piszę powiastkę.

*

Mówią, że boba nie ma jeszcze, że dopiero przyjdzie. Bobo nie figuruje w żadnej książce żadnej parafii, żadnego cyrkułu⁶, nikt go nie widział, ani matka nawet – dopiero oczekują, a ono już dawno było i jest.

Już serce jego rozpoczęło pracę, która się nigdy nie skończy, którą serce boba przekaże sercu bobowego syna, wnuka i prawnuka, jak ją bobowemu przekazało serce dziada i pradziada.

⁴ przyćmić (daw.) – przygasić. [przypis edytorski]

⁵ społem (daw.) – razem. [przypis edytorski]

⁶ cyrkuł – tu: dzielnica miejska. Warszawa była podzielona na cyrkuły do 1915 r. [przypis edytorski]

Mówicie, że bobo którego jeszcze nie ma, liczy ileś tygodni czy miesięcy życia. Macie słuszność, a mylicie się. Ono jest samo dla siebie, nie zna waszego zegara ani kalendarza – bobo było zawsze i jest.

Nie tylko dlatego się mylicie.

Bobo nie ileś tam warunkowych miesięcy ludzkich żyje. Ono żyło już, rozproszone, zawieszona miliardem pyłów po szerokim świecie wówczas, gdy rozlegał się okrzyk: „zwalić Bastylę” – żyło, gdy lud szeroką falą płynął, by niewiernemu odebrać grób pokalany Chrystusa⁷; gdy wieńczono laurem skroń Sofoklesa⁸; gdy batogami smagani niewolnicy wznosili dumne grobowce faraonów, żyło jeszcze i jeszcze dawniej, gdy miało dziesięć tysięcy lat czekać na swe urodzenie.

Bobo żyło w mięśniu niedźwiedzia na dalekiej północy i w liściu wiecznie zielonej palmy upalnego południa.

Hej, co podróży odbyło bobo, zanim po raz pierwszy serce jego uderzyło.

Bobo było już dawno, najdawniej – żyło w plazmie leniwej ameby, istniało już w chaosie, z którego Bóg tworzył gwiazdy, rozwieszał je po niebie i umacniał niewidzialnymi nićmi wzajemnej zależności: układał gwiazdy w społeczeństwa gwiazd.

– Tik-tak, tik-tak – bije serce boba.

Głuchy, cichy, monotony szmer i długi bez końca gościniec myśli...

Dla oczekiwanego boba szykują pieluszki.

*

Bobo poczuło dotkliwy ból, doznało wielkiego przerażenia. Ból boba nie był naszym bólem świadomym, dojrzałym, doświadczonym, siwym, bólem ojcem i bratem. To pierwszy taki wielki ból.

Bobo doznało ciężkiego uczucia, podobnego do tych, gdy w śnie zmorowym⁹ nagle jęczeć poczynaś; budzi cię mąż, matka lub żona i zapytuje: „czemu jęczałeś?” – a ty odpowiadasz: „nie jęczałem wcale” lub: „nie pamiętam, nie wiem”.

Gdy człowieka wśród czarnej nocy obca ręka chwyci za gardło, w obłędzie zduszenia nie ma obrazu pod powiekami, jest tylko czarny zdławiony krzyk w piersi.

Takim jest pierwszy oddech boba, taką jest ta jedna chwila – jedna, jak śmierć. Kapłan-ból poślubia małą istotę ludzką z życiem.

Bobo chwyciło płucami zimne powietrze i drżąc, poczyna żyć samodzielnie, na własną odpowiedzialność. Połóż palec na ustach i milcz, bo widzisz cud. Staraj się czynić jak najmniej, bo nie wiesz, bo nie rozumiesz – rzucisz w myśl swą jedną wątpliwość, a wyrośnie gęsty las pytań bez odpowiedzi i zagadnień. Bobowi zimno, bobowi straszno, źle...

Już gotują rumianki, już niosą z apteki proszek troisty¹⁰, a ciocia pyta się przez telefon:

– Chłopiec czy dziewczynka?...

*

Bobo ma dwa sny: jeden czarny i martwy, gdy nie dzieje się nic, drugi brunatny i cichy, gdy dzieje się coś...

⁷ *gdy lud szeroką falą płynął, by niewiernemu odebrać grób pokalany Chrystusa* – chodzi o krucjaty, czyli zbrojne wyprawy krzyżowe podejmowane od XI–XIII w. w celu odbicia muzułmanom miejsc świętych dla chrześcijan. [przypis edytorski]

⁸ *Sofokles (496–406 p.n.e.)* – wielki tragediopisarz gr., autor m.in. *Antygony*. [przypis edytorski]

⁹ *sen zmorowy* – sen przykry i dręczący. [przypis edytorski]

¹⁰ *proszek troisty (med.)* – preparat sporządzany według kodeksu aptecznego (*Farmakopei*) wykazujący łagodne działanie przeczyszczające, stosowany na problemy trawienne i kolki głównie u dzieci. [przypis edytorski]

Noc głęboka, daleko do świtu. Leżysz z otwartymi oczami i patrzysz. W sypialni twej są wszystkie przedmioty, ale do świtu, gdy wynurzać się poczną z topieli mroków, daleko...

Stoisz nad świeżo obsianą skibą. Jeszcze łuska ziarna nie nabrzmiała, ale i w ziarnie, i w ziemi stało się wiele cudów, i wiele ich jeszcze będzie, zanim pierwszy zielony haczyk kielka się pokaże...

Bobo ma pod czaszką, w mózgu, dziwne motyle utkane z misternej przędzy, po której sunąć będą barwne obrazy, przenosząc się od stacji do stacji, splatając w rodziny i narody obrazów – myśli. Jeszcze przy przewodnikach i łącznikach nie ma kierowników – bobo koi rany walki o życie w godzinie urodzenia, i śpiąc, gotuje się do długiej, zaciętej walki o rozwiązanie otaczających je tajemnic, skąd płynie dobro i zło.

Brunatny sen bobowego czuwania jest dwojaki: jeden, gdy dzieje się coś brutalnie i źle, drugi – gdy łagodnie i mile. I bobo leży cicho lub krzyczy. Nie płacze, bo nie ma jeszcze łez.

*

Matka nachyliła się nad poduszką boba, już szuka w nim myśli rozumnej.

– Spójrz bobuś na matkę.

Bobo zwraca łysy łeb w stronę ust matki i poczyną ssać, szukając wargami piersi. – Bobo poczuło ciepło mowy matczynej, chce pić ustami miłość macierzyńską.

Innym razem, później nieco, padł na poduszkę ciepły strumień promieni słońca. Bobo poczęło szukać go i poruszać wargami, chciało pochwycić pierś słońca, chciało pić słońce.

Innym razem, znacznie później, gdy piastunka zanuciła kołysankę, bobo chciało ssać pieśń.

A matka już dziś szuka w nim myśli rozumnej...

Bobo nic jeszcze nie umie, nawet ssać nie umie: to śpieszy się, to ssie leniwie i sennie; zrobi pauzę długą, to poruszy głową niezgrabnie i pierś zgubi, i gniewa się, i boleje.

Tak niewprawnemu rzemieślnikowi wypadają z ręki narzędzia pracy, tak młodzian na pierwszym balu niezręcznie wymija pary, tak wreszcie niedoświadczony poeta z mozołem rymy dobiera.

Bobo ręką poruszyło, wyprężyło się, drgnęło – ma zdolność ruchów, nie ma w nich myśli.

Ale umie bobo trawić spożyty pokarm, wzrastać jego ceną, umie więcej niż najmisterniejsza maszyna, cud ręką ludzką stworzony, i mniej znacznie niż pisklę, które, ledwo wykluwszy się z jajka, biegnie za matką i już dziobie ziarno; mniej niż drobny owad, sunący rozważnie po listku leśnej rośliny.

*

Bobo leży w swym wózku syte, suche, zadowolone – ogarnia je cicha drzemota¹¹. Bobo mruży powieki, unosi je z mozołem, marszcząc czoło i krzywiąc usta. Oczy boba zwracają się bezładnie w różne strony, nie umie patrzeć.

Bobo zwalcza ogarniającą je senność, jak przewodniczący nudnego zebrania, które się nad miarę przeciąga. A dokoła szmery, tony, szepty, dźwięki; a dokoła blaski, cienie, błyski, plamy, mgła dźwięków i mgła barw.

I stała się nagle rzecz nadzwyczajna. Gałki oczne boba tak się przypadkowo ustawiły, że bobo przejrzało.

Widzi.

Szary świt narysował pierwsze niejasne kreski pysznego obrazu. Bobo zdziwiło się, ucieszyło, spłoszyło i zapragnęło wiedzieć.

¹¹ drzemota (daw.) – chęć snu. [przypis edytorski]

Niegdyś, dawno bardzo, człowiek przez pierwszy niezgrabnie zbudowany teleskop posłał pytań pełne, a już dumne, już mniej korne spojrzenie ku gwiazdom. Przeżył chwilę ekstazy i wieki zawodów, walk, goryczy.

Pierwsze świadome: pragnę wiedzieć, pierwsze rozumne spojrzenie, pierwszy ból z powodu utraty tego, co posiadało, co nie było pokarmem, a jednak potrzebne, by żyć.

Bobo znów nie widzi, znów noc. I płakać zaczęło; a matka przywołała piastunkę, bo sądziła, że głodne.

Omyliła się: był to pierwszy płacz boba, nie że głodne, nie że pielucha zwinęła się w fałdę, a że utraciło nieznaną świat, krzyk niecierpliwości, upadku po momencie dumnego wzlotu. Było piękne, a znikło – i nie ma. Krzyk, protest przeciw niemocy ducha.

Ale bobo poczęło ssać chciwie, głuszac ból duchowy, żal serdeczny po utraconym wątku cennej idei, popełniło tę samą omyłkę, co matka.

*

Nachyliła się ciocia nad wózkim, wzrok jej spotkał się z poważnym, badawczym spojrzeniem boba.

– Śliczna dziecina – mówi ciocia do matki – krój ust ma twój, a oczy twojego męża.

Nachyliła się bardziej jeszcze, pocałowała bobo.

A ono drgnęło przestraszone.

Ciocia zawstydziała się pocałunku i strachu bobowego.

– Biedne maleństwo – mówi ciocia – twój umysł śpi jeszcze.

Umysł boba śpi?

Ależ żaden umysł ludzki w żadnym życia okresie nie czuwa tak czujnie, jak umysł bobowy. Gdyby umysł ludzki zawsze tak spał, miałby myśl niebosięzną, wszechświat zbladłby o swe tajemnice.

Umysł boba pracuje w ciszy o strasznej sile; a dziś niepodobne w nim do dnia wczorajszego.

Gdy staniesz w budynku maszyn na wszechświatowej wystawie, drżenie, huk i zawrotny bieg kół dech ci zapiera w piersi; a czymże to w porównaniu z pracą milionów motorów, kół i transmisji mózgu bobowego!

Bobo patrzy i myśli, myśli najbardziej tajemniczą i najżywszą mową, bez wyrazów – mową obrazów i ułamków obrazów, wspólną dla wszystkich bobów całego świata i wszystkich tworów żywych. Ono gromadzi i szereguje obrazy, zaludnia stacje duchowego telegrafu, tworzy materiał do pysznej budowli symbolicznej mowy ludzkiej, w której każdy obraz ma swój własny dźwięk i swą własną duszę, dobrą lub złą, ukochaną lub nienawistną.

Bobo smuci się, cieszy, dziwi, lęka, pyta i pragnie. Bobo wiąże już nikłe wspomnienia sprzed godziny ze snem dnia wczorajszego i splata ich tkaninę z nocą, gdy Bóg zwieszał gwiazdy na firmamencie. Bobo błyskawicą przebiega stulecia i tysiąclecia rozwoju myśli ludzkiej. Niezadługo prześcignie najmyślniejsze zwierzę i chwiejnie fizycznie, bezradne życiowo, umysłem bratać się pocznie z geniuszem rodu ludzkiego.

*

Porozmawiamy, bobo.

Słońce pada na twą głowinę drobną, wdzięczną.

Wzrok twój mówi, że jesteś już człowiekiem.

Biedne, jak mi cię żal.

Bo nie ma większego nieszczęścia, niż urodzić się człowiekiem.

Czemu, jeśli musiałoś¹² zbudzić się do życia, nie zostałeś kwiatem?
Czemu nie zrodziłoś się motylem?
Czemu nie piskłęciem leśnej śpiewaczki?
Im wyżej, tym smutniej...
Ludzie pragną wiedzieć.
Bobo, ile bólu w poszukiwaniu przyczyn, celów, drożyn, dróg.
Ile bólu...
Czy wierzysz bobo, że niegdyś?... Albo nie, czy sądzisz, że kiedyś?
Nie, nie.
Już nic – nic więcej nie powiem...
Marszczysz czoło?
Nie płacz, bobo. Przyjdą małe krzywdy, nie warto płakać. Przyjdą wielkie krzywdy, zapomniawsz płakać.
A pokolenia płyną, płyną...
Uśmiechasz się bobo, nie wierzysz? Masz słuszność. Tę drogę przejść trzeba samemu, nikomu nie należy wierzyć.
Masz słuszność...

*

Bobo zawieszony w przestrzeni jak gwiazda. Bobo samo dla siebie nie istnieje przecież; zadrapie się własnym ostrym pazurkiem i krzyczy. Ręce, nogi, głowa boba to dalekie lądy jego świadomości, odkrycia odległej przeszłości.

Istnieje tylko drobna iskierka bobowej myśli, iskra mocna jak zawiązek pożaru.

Bobo ma oczy szeroko otwarte, wodzi nimi i bada otaczające cienie. Nie dostrzega plam nieruchomych, ale są, które zmieniają kształt jak chmury.

Bobo jest gwiazdą, która bada zmienne kształty chmur.

Leży na wznak, a dokoła cienie: matka, piastunka – ciemne plamy na jasnym tle, unoszą się w przestrzeni gdzieś powyżej, poniżej, i giną w górze.

(Bobo będzie musiało, siedząc na ręce, przebudować pracowicie stworzony światopogląd).

Istnieją myśli, uczucia boba – bez porównań, bo bez wspomnień. Istnieje badawcza myśl.

Dokoła poruszają się chmury. Z powodzi chmur bobo wyodrębniło pamięcią jedną:

Cień, który najczęściej się ukazuje.

Cień, który nie zmienia kształtów, nie rozrasta się tak, że go nie ogarniesz wzrokiem.

Cień, za którym można wodzić oczami, bo nie znika nagle, jak wszystkie inne.

Cień bliski, bratni, który go nie opuszcza, z którym bobo czuje się mniej samotne – pierwszy nauczyciel boba: własne ręce.

Jak myśliwy, zanim pocznie strzelać do odległej zwierzyny, uczy się celować do uwieszanej na sznurku butelki, tak bobo celuje wzrokiem, uczy się chwytać w ruchu – własne swoje ręce.

Bobo w ciszy odbywa długie i mozolne studia: uczy się patrzeć, uczy się pamiętać, uczy się poznawać.

Nie wolno bobowi rąk krępować, bo mu one potrzebne.

*

Mijają wieki, wiele stuleci.

¹² *musiałoś* – 2 os. lp cz.przecz. r.n., forma bardzo rzadko używana. [przypis edytorski]

Mówię: wiele stuleci, bo godziny bobowego czuwania przeplatane godzinami snu, chwile wesołych uśmiechów i uniesień gniewu, rozpamiętywań cichych i burzliwych rozpaczy – godziny i chwile, które na tarczy zegara znaczą się bliskimi znakami, są dla boba okresami bez porównań, bez ściśle ustalonych w czasie wspomnień, nieskończenie długimi, zatartymi na szarej tablicy jego świadomości.

Wczorajsze wrażenie przeżywa bobo dziś we wspomnieniu mglistym obrazem, jak stuletni starzec – pierwsze lata dzieciństwa.

Minęło wiele stuleci, zanim bobo poczęło poznawać cienie dobre i złe. Dwa dobre cienie, które bobo już zna, dwie jego ręce.

Dobry cień to pierś piastunki: wielka chmura zakrywa cały horyzont, daje ciepło i koi głód.

Kiedy się budzi, leży cicho, patrzy ciekawie, wsłuchuje się czujnie, zwraca głowę w stronę każdego szmeru i każdej błyskawicy blasku.

Kiedy płacze, pokazują mu błyszczące przedmioty – grzechoczą, pukają, huśtają – i bobo znużone czuje się jak podróżny, który po wielu nieprzespanych nocach wpadł do kabaretu z obfitym, ciekawym programem i hałaśliwym towarzystwem: chciałoby się patrzeć i słuchać, a oczy ciężą ołowiem, a obrazy płyną po powierzchni świadomości jak szare chmury o zmierzchu.

*

Zapal dużo świateł i czytaj głośno, radośnie, tryumfująco...

Bobo jest już człowiekiem...

A stało się tak szybko i samorodnie.

Kto zbudził w bobie myśl, trzepocącą skrzydłami w pierwszym locie ponad łąką życia, barwną, gwarną, zasłuchaną w pieśń blasków wschodzącego słońca!

Myśli bobowa, jesteś jak źródło powierzchnia, lekkim wiatrem mącona, drżąca obrazami pochylonych nad tobą serdecznych postaci.

Tyle gwiazd na niebie, przybyła jeszcze jedna.

Tyle drzew w borze, jeszcze jedna krzewina wykluła się z ziarna.

W chór ptactwa leśnego wplótł się jeszcze jeden maleńki naiwny głos śpiewaka...

Natura nie zna spoczynku, pchnięta do pracy potęgą niewidzialnej dłoni. Cudownie wyrzeźbiła małego człowieka mocą twórczego natchnienia. Natchnienie natury ma rozmach tytana i sumienność świętą. Ciśnie gromady gór w potwornym nieładzie, kroplami rosy obciosą każdy załamek, jeszcze mchem przystroi, którego źdźbło żyje i cieszy się, i wierzy.

Dzieło sztuki, mozolny twór pracy ludzkiej, łudzac wzrok, kłamie naturę. Uderz młotem w rzeźbę, będziesz miał tylko gruzy, skorupy, garnek rozbity. Pokraj mikrotomem¹³ okrucieństw pazurka lśniącego na końcu różowego paluszka bobowego, zobaczysz pod drobnowidzem¹⁴ szereg nowych pięknych obrazów.

Gdyby w maleńkich nitkach bobowych żył nie płynęła krew, tocząc się przez rzeczki i rzeki do morza – serca, gdyby przez rzeki bobowych nerwów nie płynęły wrażenia do morza – mózgu, gdyby nie miało cudownej mocy wzrostu, byłoby jeszcze milionkroć bardziej skończone niż wszystkie dzieła martwej sztuki, rozwieszane w mrocznych salach cennego muzeum.

A ludzie zjeżdżają się z łądów świata, by je oglądać – popękane, spłowiałe, mozolnie wypocone w długich godzinach poprawek i przeróbek, skatalogowane, zachwalane i opatrzone ceną rynkową.

Ty bobo, nie masz ceny.

¹³ mikrotom – przyrząd laboratoryjny do cięcia materiału na bardzo cienkie skrawki, z których robi się preparaty mikroskopowe. [przypis edytorski]

¹⁴ drobnowidz (daw.) – mikroskop. [przypis edytorski]

*

Bobo jest dzikim człowiekiem, który już to i owo przeczuwa z otaczającego je świata, tłumacząc naiwnie związek wzajemny tajemniczych zjawisk.

Gdy bobo dawniej jeszcze leżało cicho z oczami utkwionymi w przestrzeń, nie rozglądając się, nie płacząc, nie żądając, rejestrowało¹⁵ wówczas nagromadzony w duszy materiał obrazów, wyodrębniając spośród cichego szeptu słów prapradziadowej mowy dźwięczne wyrazy własnego, osobistego życia.

I oto, stokrotnie gubiąc i znów chwytając wążek rozpraszających się i skupiających, połowicznych, całkowitych, wyraźnych bądź szarych obrazów, skleciło sobie chatkę biedną, skromny szałasik pierwotnego światopoglądu. Bobo nie ustanie w pracy, dalej gromadzić będzie kosztowne granity, olbrzymie belki i żelazne przęsła pod budowę wielkich pałaców myśli, a chatka dzikiego człowieka tylko na dziś, na jutro, bo myśl musi gdzieś spocząć, mieć domek mały, gdzie składać będzie mozolnie ciułane zapasy. Dopiero znacznie później, gdy mu się już szczęście pocznie, bobo-bogacz będzie od razu łamało wielkie bryły marmuru; dziś zbiera pracowicie kamyczek do kamyczka, ziarenko piasku do ziarenka.

Bobo wierzy w istnienie złych i dobrych duchów, w niosące łaski lub zwiastujące klęski. Sądziło bobo, że wszystkie są jednakowo potężne, że wszystkie są widzialne, że nie ma nad nimi mocy. Teraz wie, że duch – ból jest niewidzialny i dobry duch – matka zwalczyć go nie umie – wie, że istnieje zaklęcie, które przywołuje dobre duchy.

Zaklęciem tym jest krzyk boba. I teraz bobo krzyczy świadomie, celowo, by dobre duchy przywołać, by czujnie pełniły swą służbę.

Drzwi, poza którymi niknie piastunka, są niebem, które uśmiechnięte daje łaskę słońca, zagniewane milczy lub miota pioruny.

Jak człowiek pierwotny wsłuchiwał się w poszum lasu, szmer rzeki, wycie wichru, by rozkazy bogów wyczytać, tak bobo słucha uważnie i bada znaczenie wydobywanych przez dobre duchy dźwięków.

Bobo wsłuchuje się uważnie w swe długie monologi i stara się pochwycić związek między nimi i ruchem własnych rąk.

Bobo przestało być obiektywnym obserwatorem, konstatującym obojętnie fakty, dziś pragnie zrozumieć, czy są one tworem złych, czy dobrych duchów, przyjaciół czy wrogów.

Gdy matka w kapeluszu nachyliła się nad kołyską boba, przestraszyło się, widząc, że dobry duch zmienił swój kształt. Widząc po raz pierwszy ruchliwą zabawkę, psa, kanarka w klatce, bobo, zanim nabierze zaufania, chce odgadnąć, czy dobry, czy zły duch się zjawił, i bada wzrokiem matkę wzrokiem zdumienia, pytania. Bobo ufa bezwzględnie swym dobrym duchom i wierzy w ich nieomyślność.

*

Było to odkrycie olbrzymie, nadzwyczajne, epokowe, decydujące. Bobo nabrało pewności, że dwa cienie – ręce jego – są bezwzględnie posłuszne bobowej woli.

Już strasznie dawno bobo podejrzewało, że dwa bliskie cienie, dwa ukochane duchy dobre, mają jakiś specjalny wielki sens, są inne niż wszystkie pozostałe. Było to wówczas zaledwie niejasne przeczucie doniosłej prawdy.

¹⁵ rejestrować (daw.) – rejestrować. [przypis edytorski]

Od świętej ekstazy w momencie pierwszego skoordynowanego spojrzenia, gdy wśród ciemności i jasności ujrzało bobo szare kontury otaczającego je świata, był to drugi dopiero moment tak ważny.

Wszelkie wiekopomne odkrycia, natchnienia, które jak błyskawica otwierają niespodzianie niebo świadomości, poprzedza długa, żmudna, mozolna praca, często wielu, wielu pokoleń.

Z szeregu faktów, w których coś się kryje, pozornie dziwnych, pozornie rozproszonych, od siebie niezależnych, przypadkowych, a jednak czymś związanych, a jednak mających jakąś u dna ukrytą wspólność, nagle rodzi się żywa oślepiająca synteza w najskrytszych komórkach mózgu. Zawiłe fakty cichym ruchem, niezależnym od woli i świadomości, układają się w szeregi i kolumny i nagle powstaje nowy świat idei, taki logiczny i jasny, ze swymi słońcami, księżycami, plejadą cygańskich komet i drogą mleczną.

Bobo, które zaledwie dorównywa człowiekowi epoki kamiennej, już brata się z geniuszami rodu ludzkiego.

*

Kiedy dawniej dawano bobowi do ręki grzechotkę, chwyciło ją mocno i przyglądało się zdziwione, bo ręka – dobry cień – zmieniła swój kształt. Grzechotka wydawała dźwięki, i bobo dziwiło się, że milczący dobry duch wydaje dźwięki.

Kiedy grzechotka wypadła mu z ręki, bobo dziwiło się, że dobry duch powrócił do swego dawnego kształtu i zamilkł.

Badania trwały nieskończenie długo, rozwiązanie wielkiej tajemnicy było tak odległe...

Ssąc własną piąstkę, bobo raz w raz¹⁶ wyjmując ją z ust, ogląda uważnie, marszczy brwi i tonie w skupieniu.

Chwyciwszy przedmiot, bobo niesie go do ust, znów ogląda uważnie, coraz bliższe prawdy, a jeszcze niepewne, jak gdyby zatrwożone śmiałością swej hipotezy.

Bobo dalekie jest jeszcze od zupełnej prawdy: nie wie, że jego ręce – to ono samo, ale wie, że są mu posłuszne, że nie ma potrzeby wywoływać ich zaklęciem krzyku, że są na jego rozkazy, zawsze obecne.

Bobo jest olśnione odkryciem, pieści się swą władzą, pierwszą własnością – pierwszym stopniem do niezależności, wyzwolenia, mocy.

– Aba, a, aa, ooo – gaworzy bobo, kierując ręce to w tę, to w ową stronę, wodząc za nimi wzrokiem, już pewne, że się nie myli.

Ogarnia je znużenie po wielkim wysiłku.

Nagle matka uśmiechnięta pochyliła się nad nim. I bobo roześmiało się głośno, serdecznie. Matka przemawia najczulszymi wyrazami, a bobo to wyciąga do niej ręce, to kładzie je do ust i ssie, i śmieje się.

Matka wyjęła mu rękę z ust, bobo przełękło się o losy swej nowej własności, krzyknęło głośno i boleśnie, zaproteutowało z taką siłą, że matka przybladła.

*

Wszyscy uśmiechają się do boba.

Sądzę, że stary dąb, patrząc na śmieszny kształt małego dębczaka o drobnych listkach, uśmiecha się doń zielonymi konarami, a mały dębczak, bezpieczny, wesoły w cieniu ojcowskich konarów, szmerem cichym gaworzy do ojca. W wielkim cielsku starego dębu, w korze i korzeniach jego, tyle

¹⁶ raz w raz – raz za razem. [przypis edytorski]

już martwych komórek, w żyłach starego dębu, krzepkiego jeszcze, soki krążą powoli, już jakby znużone; a mały dębczak pijąc krew macierzy ziemi, chwytą ją, pożywa i rośnie, rośnie, rośnie.

Zdaje mi się, że ptak każdy ma uśmiechy dla swych maleńkich, bo życzliwość dla przyszłych pokoleń jak mgła błękitna, pełna serdecznych drgnień, otacza wszystko, co wita jutro w jego drobnych, niedołączonych a rozkazujących poruszeniach.

Nawet poważne stare słońce – żywiciel, znajdzie uśmiech dla leśnej konwalii, a leśna konwalia odpowiada mu drzeniem białych płatków, wonią czystą.

Bobo odpowiada uśmiechem na uśmiech, nie dlatego, że go rozumie, nie że zna mowę serdeczną uśmiechu, ale dlatego, że tak było setki tysięcy lat, że dzień dzisiejszy tkliwie wita jutrzejszy poranek, a ten mu łagodnie odpowiada, że ten uśmiech płynie poprzez pokoleń tysiące i wiąże w jedną rodzinę braterstwa bielejące kości pogańskiego cmentarzyska z bobem, które płynąć będzie w przestworzach, bo ten uśmiech jest spoidłem ogniw w łańcuchu pokoleń.

Jak pierwszy oddech jest odruchem niezbędnie poprzedzającym świadome życie boba – bez tego nie byłoby życia, tak pierwszy uśmiech poprzedza myśl, bez niego nie byłoby myśli...

Uśmiecha się do ciebie matka, o bobo, nie ma żalu, że każdy dzień twego wzrostu jest dniem jej upadku, że każdy twój oddech, każde uderzenie tętna, jest krokiem naprzód dla ciebie, a krokiem wstecz dla niej.

*

Bobo teraz przeprowadza badania swe planowo i z tym większym zapałem. Duchy pojedyncze już zna, stara się teraz ich wzajemny do siebie stosunek zrozumieć.

Przygląda się obiadowi rodziców.

Dobre duchy odprawiają dziwne nabożeństwo. Bobo wodzi za ruchem ich rąk, uzbrojonych w widelce i noże, śledzi je od talerza aż do ust uważnie i cierpliwie. I dziwi się dużym zdziwieniem.

Trzy zdziwienia ma bobo: najmniejsze, powieki szeroko otwarte i uśmiech w oczach. Zdziwienie większe, usta uchylone, bobo zastyga w zdumieniu i patrzy, patrzy. Zdziwienie najwyższe to szybki oddech, niespokojne ruchy rąk i łęk w spojrzeniu.

– Biedny boboś, daj mu trochę zupy – mówi ojciec do żony. – Tak na nas patrzy.

I bobowi badaczowi chcą wlać gwałtem zupę kwaśną, słoną, paskudną. Odwraca głowę, pluje, krzywi się, ręką odpycha.

Bobo dawno już przestało wierzyć w nieomyślność dobrych duchów i konieczność ulegania im, przeciwnie, coraz podejrzliwiej się przygląda, zawsze czujne, zawsze gotowe do protestu, zakłębieniem przykrywa starą się kierować ich czynami.

Dobre duchy mają też swoje dziwactwa, należy bacznie obserwować każdy ich czyn, należy je wychowywać, by stały się zupełnie uległe bobowej woli.

Bobo ufało kiedyś dobrym ceniom i wiele razy z wyrzutem bolesnym spojrzało na matkę, zanim nabrało przeświadczenia, że jej ufać bezwzględnie nie należy.

Jedyne duchy nieomyślne to ręce bobowe. Bobo dziś już rzadko, wyjątkowo tylko, nos sobie ręką zadrapie, i to wówczas, gdy w gniewie na chwilę równowagę umysłu utraci.

Bobo teraz żąda: każdy przedmiot musi obejrzeć rękami i ssaniem.

Rodzice mówią, że bobo się bawi.

Mały człowiek dziki zbyt poważną rozpoczął pracę, zbyt mało ma czasu, by trwonić go na zabawy, zbyt wiele otacza niebezpiecznych tajemnic, by lekkomyślnie igrać z nimi.

Kiedy leży w kołysce, pozornie beczynnym, bada ręce, by się przekonać, czy nie mają jakichś ukrytych a ważnych właściwości, jaki jest ich wzajemny stosunek; rozmawia, mozolnie gimnastykuje struny głosowe, jak pianista przed ważnym koncertem odbywa długie i nużące próby.

Na przechadzce bada w skupieniu tłumy obojętnych ruchomych cieni, jest jak człowiek, który by odbywał podróż pierwszą między słońcami i planetami – nowe i piękne, ale jakże o rozrywkach myśleć, gdy wokoło tyle tajemniczych zagadnień.

Ulica z jej hałasem, ogród z zielenią, obce mieszkania i obce postacie, to lądy odległe, nieznanne, zwiedzane w długich wieloletnich podróżach.

Bobo znużone zasypia i przez sen się niespokojnie porusza, bo widzi w sennym marzeniu ułamki obrazów, jak widziało je niedawno na jawie.

Zdobyło zaledwie kilka pewników, posiada wiele niesprawdzonych, przypuszczalnych prawd i tyle, tyle jeszcze zagadnień, które musi rozwiązać.

*

Bobowi pokazują obrazki, patrzy i nie rozumie. Ale patrzy ciekawie, jak na wszystko, co istnieje, a więc trzeba znać, dociec czym i do czego służy. Chce obrazki pochwytać i do ust włożyć.

Bobo wyciąga ręce i śmieje się do dzieci. Są to duchy dobre, służące dla nieznanego celu.

Bobo postawiono przy lustrze. Spojrzało na matkę, zdziwiło się swym najwyższym zdziwieniem i ukryło twarz na jej ramieniu, chroniąc się przed niebezpieczeństwem. Bobo rozumuje: z chwilą gdy nie widzi niebezpieczeństwa, przestaje ono istnieć.

Bobo znów w lustro spojrzało, ciekawość badacza przemogła obawę. I tu matka popełniła błąd: zabrała bobo. A przecież bobo długo musi patrzeć i myśleć, zanim coś zrozumie.

Bobo długo bawi się kolorowym jajkiem z drzewa i umie już je przekładać z jednej ręki do drugiej.

Teraz już nie ma potrzeby robić po stokroć to samo odkrycie, bo raz dokonane pamięta.

Bobo bada mowę dobrych duchów; kiedy matka raz gniewnie przemówiła do boba, zdziwiło się najwyższym zdziwieniem:

– To ważne, bardzo ważne, bardzo tajemnicze.

Niezdługo zamiast nużącego zaklęcia krzyku i zawodnego zaklęcia wyciągniętych rąk, zdobędzie bobo zaklęcie pierwszego wyrazu.

Niezdługo zrozumie, że między ruchomą piłką a dobrym duchem matką jest różnica życia...

Dobre duchy już dawno przestały być dlań cieniami na jasnym tle.

*

Matka ukazała się za szklaną szybą drzwi. Bobo wyciąga do niej ręce i uderza o szybę.

Znów tajemnica?

Cała kunsztownie i z takim wysiłkiem wzniesiona teoria o dobrych duchach i ich właściwościach nagle rozpadła się w gruzy.

Bobo zalało się łzami.

– *Ignorabimus*¹⁷. Nie będziemy wiedzieli.

*

Kąpiąc się, bobo zrobiło odkrycie: prócz rąk posiada nogi – dwa odległe lądy.

A może kołdra, poduszka, łóżko całe też są bobem, znów poszukiwania mozolne, rewizja gruntowna zdobytych prawd, lekkomyślnie wysnutych przypuszczeń.

– *Ignorabimus. Ignorabimus.*

¹⁷ *ignorabimus* (łac.) – 1 os. lm cz.przysz., nie będziemy wiedzieli, tu w znaczeniu: nie uda nam się dowiedzieć. [przypis edytorski]

*

Bobo stoi o własnych siłach.

Tryumfuje...

Bobo, bobo, z jaką przerażającą ufnością idziesz naprzeciw życiu...

Feralny tydzień

(Z życia szkolnego)

Węglarz zrobił zawód.

Tatuś bardzo się gniewał, że mama wszystko odkłada na ostatnią chwilę. Mama powiedziała, że jak tatuś nie wie, żeby nie mówić, bo węgle były zamówione już w czwartek. Tatuś powiedział; że w mieście, chwała Panu Bogu, niejeden jest tylko węglarz. Mama powiedziała, że wie o tym lepiej od tatusia, tylko że ten właśnie daje dobrą wagę. Tatuś powiedział, że mu groszowe oszczędności mamy stoją kością w gardle. Mama bardzo się obraziła. Niech tatuś sam gospodarstwo prowadzi; tatuś jest człowiek bezwzględny; mama miałaby też wiele do powiedzenia. A tatuś powiedział: – Już się zaczyna stara śpiewka – i wyszedł.

Działo się to w niedzielę, a w poniedziałek rano w mieszkaniu było zimno jak w psiarni.

Stasia już dwa razy budzili, raz mama, a drugi raz Ludwika. Stasio udaje, że śpi. Pod kołdrą ciepło, a w pokoju zimno i ciemno, na ulicy zimno i błotno, a w szkole...

– Pani kazała się spytać, czy Stasio wstał... Niech Stasio wstaje, bo późno... Stasio się spóźni do szkoły.

Ludwika pociąga za kołdrę.

– Zaraz.

– Zaraz to zaraz. Proszę wstać.

– Niech Ludwika sobie idzie.

Ach, jak on nienawidzi tej wstrętnej kuchary, która do wszystkiego się wtrąca.

– Dobrze, powiem pani. Niech sobie Stasio leży. – Stasio nienawidzi Ludwiki. Nienawidzi za to, że musi wstać, za to, że dziś poniedziałek, a w tygodniu nie ma święta, za to, że nauczyciel odda dziś dyktando, w którym Stasio zrobił dwa grube błędy, o których wie; a wreszcie za to, że dziś jest pierwsza geografia, z której go pewnie wyrwie, bo tylko sześciu zostało, którzy odpowiadali po razie.

– No co, wstaje? – rozlega się głos mamy ze stołowego pokoju.

Stasio siada w łóżku i pod kołdrą zaczyna się ubierać leniwie.

– Acha – mówi Ludwika z tryumfującym uśmiechem.

– Jak Ludwika nie pójdzie, to ja się nie będę ubierał.

– Ojoj, jaki to skromniutki – żeby się kto nie dowiedział.

„Żebyś zdechła” – myśli Stasio w najwyższej pasji.

*

Szary, posępny, gnuśny, poniedziałkowy ranek.

Szary, posępny i gnuśny jak żywot tej stokroćmilionowej rzeszy, czołgającej się w poszukiwaniu stawy i przyrodziewka – w kółko od niedzieli do niedzieli, w kółko leniwie i bezmyślnie, w kółko, bez szczerego uśmiechu, bez barwnego dążenia, bez mocnego oddechu płaskiej piersi, bez leśnego „hop-hop”, które by pochwyciło i niosło w zieleni echo donośne.

Niedziela dała nudę i rozczarowanie, poniedziałkowy ranek zwiastuje sześć długich mętnych dni, zanim nadejdzie nowa niedziela z jej nudą i zniechęceniem. – Eh panowie, panowie – miliony dziatwy szkolnej wrzęgliście do swego kieratu, i kręcą się biedne dzieciśka w kółko od niedzieli do niedzieli, i tępiją po latach udręki i milczącego bezsilnego protestu.

Idzie Stasiak z tornistrem na plecach i troską w sercu, stara się robić duże kroki, aby każdy krok odpowiadał jednej płycie trotuaru, uderza ręką w blaszane szyldy mijanych sklepów.

– Dzień dobry.

Podają sobie obojętnie ręce.

– Wiesz, byłem wczoraj w cyrku.
Wiśnicki zawsze się musi wszystkim chwalić.
– Wielkie rzeczy – pewnie na południowym.
I Stasio zbacza na stronę, aby wejść w kałużę.
Wiśnicki milknie, niemile dotknięty.
– Właśnie że byłem na wieczornym. A wreszcie to wszystko jedno.
– Jutro a nie dziś wszystko jedno. Po południu przedstawienia są dla dzieci.
– Właśnie, że nie, tylko że wolno wziąć jedno dziecko za darmo, a reszta wszystko to samo.
– Ale lwów po południu nie dają.
– A właśnie, że i lwów dawali.
– I wchodził do klatki?
– A wchodził.
– Jak kogo kochasz?
– Jak ojca kocham – i patrzy Stasiowi prosto w oczy.
– No to się złapałeś, bo byłeś po południu.
– Wcale się nie złapałem.
– A skąd wiesz, że wchodził do klatki?
– Skąd wiem, to wiem.
Idą obok siebie gniewni i milczący.
– Dzień dobry.
Czerwińskiego Stasio też nie lubi, bo kowal i głupi.
– Wiecie: w tej dykcie¹⁸ nie zrobiłem ani jednego błędu.
– A jak napisałeś „poślednieje”?¹⁹ – pyta Wiśnicki.
– Fi, także mi sztuka.
Jest to właśnie jeden z dwóch grubych błędów Stasia.
Stasio odłącza się od nich, idzie brzegiem rynsztoka – na samym brzeżuszk, rozstawił ręce i utrzymuje równowagę. – Spogląda z ukosa na kolegów i myśli z niechęcią:
– Szцениaki.

*

– Na miejsce. Dosyć.
Teraz kolej na Stasia.
Stasio szybko chowa zegarek. Trzy minuty do dzwonka.
Jeszcze zostało tylko dwóch, którzy odpowiadali po razie, a z siedmiu wyrwanych dzisiaj, aż cztery dwójki.
Ostatni wydawał²⁰ na M; na N nie ma nikogo, na O – jeden, a potem P. Jednym szybkim rzutem myśli obejmuje grozę sytuacji. „Prędeż, dzwonek, prędeż” – krzyczy myśl jego w strasznym, dzieciom tylko i obłąkanym znanym, przerażeniu. – „Boże, zmiłuj się”.
Nauczyciel postawił stopień, naprzód²¹ w notesie, potem w dzienniku; przebiega wzrokiem listę, przewraca stronę notesu – Stasio jest tam na samej górze.
– Prechner.
Westchnął głęboko. „Boże miłosierny, dzięki Ci”. Serce jego kołające jeszcze niespokojnie po doznany wstrząśnieniu, przykłękło w kornej modlitwie.

¹⁸ *dykta* (daw. pot.) – tu: dyktando. [przypis edytorski]

¹⁹ *poślednieje* (ros. *noclednee*) – ostatnie. [przypis edytorski]

²⁰ *wydawać lekcję* (daw.) – odpowiadać, recytować przed kimś zadany materiał lekcyjny. [przypis edytorski]

²¹ *naprzód* – najpierw. [przypis edytorski]

Więc w sobotę będzie wydawał: nauczy się na pięć – przez całą dużą pauzę będzie powtarzał. A Prechner powoli poprawia bluzę, bardzo powoli zamyka książkę, chrząka.

– Do tablicy – niecierpliwi się nauczyciel.

Wolno wysuwa się z ławki. I dzwonek. Nasamprzód jedno uderzenie ciche, przytłumione; to stróż bierze dzwonek do ręki; a potem cała fala głośnych, jędrnych, zbawczych uderzeń dzwonka.

Nauczyciel skinął ręką, odłożył pióro, zamknął dziennik i wyszedł.

Klasa huczy dziesiątkiem głosów. Stasio przyłącza się do grupy, gdzie Prechner opowiada, że nie miał książki w ręce, że nie odpowiedziałby ani słowa. Widać, że się nie chwali tylko, że naprawdę nie umiał. I nic dziwnego: odpowiadał już trzy razy. Nauczyciel chciał go złapać – to jasne.

Pierwsza pauza trwa krótko.

Na religii sąsiad daje Stasiowi obiecaną książkę. Stasio przegląda spis rozdziałów, trzymając książkę pod ławką, potem zrazu jakby niechcący, a potem uważniej przebiega treść pierwszego rozdziału; wreszcie kładzie książkę na ławkę, przykrywa do połowy religią, ciekawe.

– Co czytasz? – pyta kolega z tylnej ławki.

Stasio spogląda z niepokojem na księdza.

– Nie twoja rzecz; pilnuj swego nosa.

Godzina przemija szybko.

W serce Stasia wkrada się niepokój. Już posłowie donieśli, że Szparag przyniósł kajety²², już dyżurny woła, żeby siadać na miejsca, już pedel²³ dwa razy uderzał kluczem w szybę oszklonych drzwi, aby uciszyć klasę. Uderzenia kluczem w szybę nauczył się od inspektora: małpuje.

Lekcja się zaczyna.

– Kogo nie ma w klasie?

Szparag przepisuje stopnie z notesu do dziennika. Uczniowie pierwszej ławki unoszą się, aby z ruchów pióra odgadnąć, ile kto dostał z dyktanda, pokazują na palcach.

– Dyżurny!

Obaj wyskakują po kajety: jeden żyd, drugi katolik; Szparag żydowi kajetów nie daje; boć to bądź co bądź czynność odpowiedzialna.

– O, mój kajet – dawaj.

– Poczekaj – po kolei.

– Przemyski.

– Dawaj.

Stasio nie ma odwagi spojrzeć. Przewraca kartkę po kartce: dwa, trzy, trzy, dwa, trzy, dwa, trzy, trzy – a teraz?

Rumieńce wystąpiły mu na policzki. Serce bije tak mocno, jak na geografii. Na pierwszej stronie dwa małe błędy, raz podkreślone, trzeci – podkreślony falistą linią – i jeden z owych dwóch grubych błędów. Nie ma co patrzeć: dwójka.

– Ile?

– Odczep się.

Stasio przymyka oczy, przewraca kartkę i nakrywa bibułą. Bibułę odsuwa powoli. – Nie ma czerwonego atramentu, nie ma, nie ma, może choć z dwoma minusami? I oto fatalne zdanie. Sen czy jawa? Nie ma. Stasio gotów jest krzyknąć z radości: błąd jest – siedzi bestia – ale go Szparag nie zauważył. Śmiałym ruchem odkrywa stopień: trójka z minusem. Gdyby zauważył, byłaby dwójka. I Stasio doznaje bardzo złożonego uczucia: wdzięczności dla Szparaga, że nie zauważył błędu, i gniewu, że mu za jeden gruby błąd i dwa małe postawił tylko trójkę z minusem: przecież mógł czystą postawić.

– Widzisz? – pokazuje sąsiadowi.

Sąsiad powitał odkrycie życzliwym uśmiechem.

²² kajet (daw.) – zeszyt. [przypis edytorski]

²³ pedel (daw.) – woźny. [przypis edytorski]

– A ty ile?

– Trzy plus.

Zacząli porównywać błędy.

– Ciszej – upomina nauczyciel.

I zaczyna się poprawianie dyktanda, dziesiątki prawideł, powtarzanych dziesiątki, mało – setki razy. Stasio patrzy na trójkę z minusem i nie myśli o niczym: jego system nerwowy wyczerpał się do dna. Siedzi bezmyślnie i nawet się nie cieszy.

– Przemyski!

Stasio wstaje.

– Dlaczego? – pyta nauczyciel.

Stasio patrzy błagalnie na kolegów.

– *Priewoschodnaja stiepień*²⁴ – brzęczą ze wszystkich stron klasy.

– *Priewoschodnaja stiepień* – powtarza Stasio.

– Co *priewoschodnaja stiepień*? – pyta nauczyciel, biorąc za pióro.

– *Jat*²⁵ – podpowiada klasa zbyt głośno.

– *Jat'* – powtarza Stasio.

– Trzeba uważać – mówi nauczyciel.

Uczeń z pierwszej ławki pokazuje mu na plecach dwa palce. Stasio sam przecież widzi: stoi i widzi, jak nauczyciel odszukuje jego kratkę w dzienniku i stawia powoli, i z rozmysłem wyraźną dwójkę.

Piorun z jasnego nieba...

*

Józio niecierpliwie oczekuje Stasia – sam mu drzwi otworzył i nie pozwalając zdjąć tornistra, zawołał:

– Chodź, to ci coś pokażę.

– Poczekaj, tylko zdejmę kalosze.

– No prędzej. Wiesz: w tym nowym sklepie dodają do każdego kajetu jedną ogromną pieczętkę albo sześć małych, i do wyboru. A do brulionu dodają łańcuszek.

– Jaki łańcuszek?

– Prawdziwy.

– Kłamiesz.

Józio jest bezgranicznie zadowolony, że udało mu się zainteresować starszego brata swoim wielkim odkryciem.

– O, widzisz: naklejka, bibuła, sześć pieczętek i stalka²⁶.

– Ta stalka nic niewarta.

– No to co? A pieczętki ładne?

– Tak sobie.

Józio czuje żal do Stasia: sądził, że go olśni, osołomi, a tymczasem... Nie wie biedak, że Stasio ma dwójkę z ruskiego.

– Na obiad. Ludwika, zawołaj dzieci.

Zosia wpada do pokoju. Spóźniła się: była w kuchni, a chciała wiedzieć, co Stasio powie, zobaczywszy bibułę, sześć pieczętek, naklejkę i stalkę dodane do jednego zwyczajnego kajetu.

²⁴ *priewoschodnaja stiepień* (ros. *превосходная степень*) – stopień najwyższy przymiotnika. [przypis edytorski]

²⁵ *Jat'* (ros. *Я́т', Ът'*) – litera starej cyrylicy, złała się całkowicie z e. Jej obecność w ortografii XX w. wynikała z wpływu języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, który był językiem liturgicznym. [przypis edytorski]

²⁶ *stalka* (daw. pot.) – stalówka. [przypis edytorski]

- No co? – pyta zaciekawiona.
- Stasio, Józio, Zosia na obiad. Ile razy trzeba was wołać?

Mama jest w złym humorze. Ta idiotka Ludwika znów oddała klucz od góry, a przecież wiedziała doskonale, że w środę ma być pranie. Mamę to nic nie obchodzi: niech sobie na nosie wieszka bieliznę, kiedy taka mądra. Mama już z nią dłużej nie może wytrzymać. Do latania ma rozum, a do roboty – zupełne cięły – i w dodatku leniwe. Od pierwszego może sobie szukać miejsca. I tatuś znów się spóźnił, a później będzie się krzywił. Niech się krzywi: mamę to nic a nic nie obchodzi.

Zosia nasłuchiwała się tego wszystkiego w kuchni. Zły humor mamy i jej się udzielił.

- Stasiu, nie kop się.
- Stasio trącił ją nogą niechcący. Ale kiedy tak, to już naumyślnie ją kopnie.
- Mamo, Stasio się kopie.
- Wstydzilibyś się: taki stary chłop, a nie umie przy stole siedzieć.

I Stasiowi przychodzi do głowy, co by mama powiedziała, gdyby przy złym humorze wiedziała jeszcze o dwójce. Zamiast: „wstydzilibyś się”, byłoby: „Stasio, jak jeszcze raz ją ruszysz, to pójdziesz precz od stołu”. I to jakim głosem!

*

Taka otrzymana w poniedziałek dwójka podobna jest do wielkiej muchy naprzykrzonej i do kleksu²⁷ na bibule. Jak mucha, brzęczy ona, płacze się w każdej myśli, przy każdej sposobności, i jak kleks na bibule, rozlewa się i rozrasta, coraz większa i większa, rośnie przez cały tydzień. Gdyby to można od razu powiedzieć mamie: „dostałem dwójkę”, i już się pozbyć. Tak byłoby lepiej: a przecież Stasio tak nie robi. I w sobotę nic nie mówi, chowa dziennik, aby nie psuć sobie niedzieli. „Nie dał dziennika, w poniedziałek odda”. Ale niedziela zepsuta i tak. Stasio już w niedzielę musi być spokojniejszy, już nie ośmieli się ani prosić o nic, ani uderzyć Józia albo Zosi; bo wie, że zawinił, i gdyby rodzice uważniej mu się przyjrzel, toby mogli sami zauważyć, zamknie się w pokoju i niby się uczy, nie śmie czytać otwarcie pożyczonej książki.

Taka otrzymana w poniedziałek dwójka odbiera mu ochotę, odwagę, wiarę w siebie, chęć do pracy. Po co się uczyć, kiedy i tak ma już dwójkę, i nic go nie ocali od gniewu rodziców. Choćby mu się udało nawet dostać czwórkę, to dwójka zawsze ją zastoni.

I Stasio wie dobrze, że jeśli w poniedziałek dostanie dwójkę, to nigdy się na jednej nie skończy; zawsze w takim tygodniu we wszystkim gorzej się wiedzie.

I kiedy we wtorek wyrwał go nauczyciel do tablicy, Stasio prawie był pewny, że dostanie dwójkę, z góry wiedział, że da mu właśnie takie zadanie, gdzie będzie dzielenie i mnożenie drobiej²⁸, i że się pomyli.

Wczoraj korepetytor znów mu tłumaczył, że jeżeli cztery pomnożyć przez pół, to będzie dwa, a jeżeli rozdzielić, to osiem. Była chwila, kiedy naprężył uwagę i zdawało mu się, że zaczyna rozumieć. Ale przyszło mu na myśl, że w takim razie, zamiast tej całej płątaniny, można zamiast dzielić – mnożyć i odwrotnie, i powiedział to korepetytorowi. Korepetytor zaczął krzyczeć, że arytmetykę mądrzejsi od niego ludzie wymyślili i że Stasio jest leń, że zamiast pomyśleć trochę, woli wynajdywać sposoby, żeby nie potrzeba było wcale myśleć, że arytmetyka jest głupstwo w porównaniu z algebrą, że jeżeli nie może zrozumieć głupiego mnożenia drobiej, to niech się lepiej pożegna z gimnazjum.

Stasio sam wie o tym. Raz podczas pauzy stanął we drzwiach piątej klasy i słuchał, jak jeden drugiemu objaśniał geometrię i rysował koła na tablicy. Stasio wrócił do swojej klasy i próbował narysować koło: wyszedł jakiś kulfon krzywy. I nic dziwnego: jak można bez kratek narysować równe koło i żeby było równiusieńkie, bo inaczej nic nie wyjdzie, a w kole trzeba narysować jeszcze z

²⁷ kleksu – dziś popr.: kleksa. [przypis edytorski]

²⁸ drobi, D lm drobiej (ros. *дробь, дроби*) – ułamek, ułamek. [przypis edytorski]

dziesięć rozmaitych linii i żeby wszystko dokładnie się schodziło. Stasio już wtedy rozumiał, że nie skończy nigdy gimnazjum. Sam widok grubych książek, wypchanych tornistrów, odbierał mu całą odwagę. A egzamina²⁹: w czwartej klasie z całych czterech klas: ile to samych wierszy tylko się nazbiera. A czy on pamięta choć jeden z tych wierszy, których się uczył przed dwoma laty?

Albo te drobi. Wczoraj była już chwila, kiedy zaczął rozumieć. I teraz, żeby mu dali się namyśleć, toby może zrobił. Bo jeżeli mu się zostało pięć siódmych pieniędzy i to było 35 rubli, to on wie, że musiał mieć więcej przedtem. Zaplatało go tylko, że chce dostać więcej i nagle ma dzielić. Sam korepetytor przestraszył go od razu tymi iksami. Iksów Stasio zupełnie nie rozumie.

Nie martwi go nawet ta dwójka. Do dzwonka zostało trzy kwadranse, może sobie przynajmniej spokojnie siedzieć, że go nie wyrwą. – Jedna czy dwie dwójki, wszystko jedno; tak czy tak, będzie mama krzyczała, a tatko będzie prawił morały:

– Ja pracuję ciężko, jesteś złym synem.

Wszystko mu jedno.

Stankiewicz robi zadanie, pisze, wyciera, płacze się, chce się wykręcić od dwójki. Stasio przygląda mu się obojętnie, nawet z pewnym zaciekawieniem, nawet z pewnym zadowoleniem: już przeżył to, co tamten ma dopiero przed sobą.

*

Godzina piąta. Muzyka.

Stasio nienawidzi muzyki. Geografii, drobiej i gramatyki uczą się wszyscy, których Stasio zna; bez tego nie można dostać promocji. Ale on jest nieszczęśliwszy od nich o całą muzykę.

Tatusz mówi, że muzyka to zawracanie głowy, a mama, że strata pieniędzy. A mimo to każą trzy razy na tydzień brzdąkać po godzinie z panią i codziennie samemu. A kiedy wieczorem uwolni się od lekcji, słyszy zaraz:

– Stasiu, idź grać.

Czasem Stasiowi żal nauczycielki: ona niewinna, że przychodzi, bo musi; a czasem na złość jej robi i pięć razy z rzędu bierze krzyżyk³⁰ po kasowniku³¹. Bo dlaczego się ciągle skarży na niego? A on ma przecież jeszcze gimnazjum!

I po co, kiedy mu wcale muzyka niepotrzebna?

Siedź i graj tu, jak masz dwie dwójki na ten tydzień, a jutro klasowe zadanie; wesoło, nie ma co mówić.

– Stasiu, uważaj.

– Ja uważam.

– Stasiu, dlaczego ty mnie tak męczysz?

Nauczycielka powiedziała to smutnym, łagodnym głosem. Stasio drgnął. Biedna. – Stasio z trudem powstrzymuje łzy.

– Teraz bez błędu zagraasz. No co – dobrze: bez błędu?

Stasio nie odpowiada.

I zagrał bez błędu.

*

„Dopiero dwa dni przeszły” – myśli Stasio, leżąc w łóżku. – Dopiero dwa dni, a co on już przeżył w tym tygodniu. Jeszcze środa, czwartek, piątek, sobota. Co go jeszcze czeka? Jutro klasówka; jeżeli

²⁹ *egzamina* (daw.) – egzaminy. [przypis edytorski]

³⁰ *krzyżyk* – znak w zapisie nutowym, podwyższa wysokość dźwięku o pół tonu. [przypis edytorski]

³¹ *kasownik* (muz.) – znak w zapisie nutowym, anuluje działanie innych znaków (krzyżyka lub bemola). [przypis edytorski]

nie zrobi zadania, będzie to już dwójka na przyszły tydzień, po tygodniu z dwiema dwójkami będzie znów tydzień z dwójką.

Boże, jak ciężko, jak strasznie.

Stasio patrzy na lampę przed obrazem i wzdycha.

Dlaczego Bóg, który jest Wszechmocny, nie pomoże mu w jego ciężkiej doli? Gdyby on, Stasio, był Bogiem... Ale grzech tak myśleć, a grzeszyć nie wolno w wilię³² zadania. Gdyby tak móc wiedzieć, co będzie jutro, albo tylko, co będzie za godzinę. Można by tak łatwo być pierwszym uczniem. Stasio nie chce być pierwszym uczniem. Pierwszy uczeń zarozumiały i nikt go nie lubi. Ale chciałby mieć trójki, żeby móc się nie bać ciągle.

Zrobił dzisiaj pięć zadań z korepetytorem; żeby tak było jedno z tych właśnie. Byłaby już czwórka na przyszły tydzień – dzisiejsza dwójka byłaby pokryta.

Dwójki dzielą się na niebezpieczne i nie niebezpieczne. Idzie przecież o to, żeby na kwartał nie wypadła dwójka. Z ruskiego ma już cztery trójki i dwie dwójki. Więc go wyrwie jeszcze na poprawkę, nie jest znów taki straszny, tylko mu czasem fantazja do głowy przyjdzie. Z arytmetyki gorzej, ale też może się jeszcze poprawić.

Jacy szczęśliwi ci uczniowie, którzy dzienników wcale rodzicom nie pokazują – takich jest dwóch, o których Stasio wie. Nikt się nimi nie interesuje, nikt na nich nie krzyczy. Albo ci, którzy mieszkają na wsi i tylko na święta jeżdżą do domu. Rogalski jest drugoroczny, a ma własnego kuca w domu – i nic go nie obchodzi.

Tylko jemu, Stasiowi, zatruwają życie.

Taki żal czuje Stasio do tych wszystkich, którzy go dręczą.

Dlaczego, jak jemu się powiedzie, rodzice są dla niego dobrzy? Mama pozwala mu i czytać, i drażnić się z Józiem, i rano tak nie krzyczy, żeby wstał, i do grania go nie pędzi, a tatuś bierze do cyrku albo dorożką. A jak mu się nieszczęści, to wszyscy zaraz na niego. Przecież on umie to samo; bo oprócz pierwszych pięciu albo sześciu uczniów, reszta wszyscy żyją tak jak on. Jak go wyrwą z tego, co umie, dostaje dobry stopień, albo jak nauczyciel jest w dobrym humorze, albo jak mu się uda ściągnąć, albo jakiś inny przypadek. Jeżeli na przykład jutro będzie jedno z tych zadań, które dziś robił z korepetytorem, to dostanie czwórkę; i czy to będzie jego zasługa? Akurat tak się trafi.

Stasio umówi się z Goldszternem tak, że jak się weźmie za prawe ucho, to trzeba pomnożyć, a jak za lewe, rozdzielić. Stasio już niby rozumie, ale się boi ryzykować, bo może w ostatniej chwili pomylić się z przestrachu i w pośpiechu.

Raz Stasio dostał czwórkę z geografii; umiał akurat do jednego miejsca, a dalej nic a nic. I kiedy powiedział wszystko, co umiał, nauczyciel posadził go na miejsce i postawił czwórkę, a tak to by dostał dwójkę za to samo.

Tak będzie najlepiej: za prawe ucho – pomnożyć, a za lewe – rozdzielić. A jeżeli prędko zrobi, to niby pójdzie z papierem do kosza i rzuci mu kartkę. Potem Stasio opuści niby pióro, nachyli się i podniesie kartkę. Chociaż to niebezpieczne.

Dziwak jest ten arytmetyk: czasem tak pilnuje, że się ruszyć nie pozwoli, a czasem nic nie uważa i można robić, co się chce. I każdy z nich – jak chce, to zawsze może postawić dwójkę – oprócz pierwszego ucznia. Są tacy w klasie, których lubią, to żeby nie wiem co, nie postawi mu dwójki. A o lizuchach i tych, których rodzice dają łapówki, nie ma co mówić. Pawełekiewicz także nie mógł zrobić zadania – odpowiadał już z dziesięć minut, jak był dzwonek. A on co: „no, na drugi raz jeszcze się spytam”. I nie postawił stopnia.

A gdyby to był Stasio...

Stasio wzdycha.

³² *wilia* (daw.) – wigilia, dzień poprzedzający inny dzień. [przypis edytorski]

– Boże, wielki i dobry Boże, daj, żebym jutro zrobił zadanie. Bo chcę przynajmniej w przyszłym tygodniu już nie mieć dwójki. – A on przynosi kajety po tygodniu, w środę – objaśnia Stasio Bogu porządki szkolne.

Dziwny spokój ogarnia Stasia. Oczy mu się mrużą, myśli się płaczą, modlitwa miesza się z ostatnimi troskliwymi rozmyślaniami i Stasio zasypia, powtarzając:

– Prawe ucho – mnożenie, lewe – dzielenie.

*

Stasio zatrzymał się przed nowym sklepem. – Jutro albo nawet dziś jeszcze, kupi nowy kajet i obejrzy łańcuszki, które dodają do brulionów. Może zamiast łańcuszka można dostać maszynkę do temperowania ołówków albo dopłacić i wziąć scyzoryk? Tak, dzisiaj kupi Stasio nowy kajet i dowie się o wszystkim dokładnie.

Rozgląda się po ulicy: idą jeszcze malcy; to znaczy, że wcześniej.

I nagle przypomina sobie klasowe zadanie na pierwszej lekcji. Trzeba się spieszyć – umówić, rozmówić, porozumieć z kolegami – wymaga to zawsze kilkunastu minut. – Zrobi, czy nie zrobi?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.